

TALENT, PRACA I FART

Leszek Pawlik, żeglarz z powołania, trener najmłodszych żeglarzy w Yacht Klubie Polski Warszawa, wychowawca wielu utytułowanych zawodników.

Rozmawiał: Dariusz Tazbir

- Kiedy zaczął pan żeglować?

- Dokładnie w '54 roku. W Legii -to jeszcze był CWKS -jako siedemnastolatek przyjechałem na przystań i przyglądałem się przez siatkę, jak skrobią łódki. Jeden z chłopaków zapytał mnie: co tak zaglądasz? Bo chciałem powiosłować, powiedziałem. Na to usłyszałem, że u nas się nie wiosłuje, ale żegluje. A można by było? No tak, chodź tutaj... i tak to się zaczęło.

- Czym się różni dzisiejsze żeglarstwo od dawnego?

- Przede wszystkim sprzętem. Oczywiście bawełniane żagle, drewniane łódki. Teraz osprzęt jest bardziej nowoczesny - metalowy, z tworzyw sztucznych... Nie ma porównania. Wtedy były to przede wszystkim Omegi; były Finny, ale też drewniane i ze stalowymi mieczami. Były Piraty i różne dziwne klasy takie jak Betki, Dwunastki, Elki, Eski. To było piękne żeglarstwo i co ważniejsze, w regatach zwykle startowało dużo łódek. Cała Wisła była zapchana łódkami. W poszczególnych klasach startowało po 60 jachtów. Dzisiaj 15 łódek to dużo, poza Optymistami, gdzie bywa istotnie wiele tego malarstwa. Poza tym inni ludzie żeglowali. Żeglarstwo było bardziej dostępne. W tej chwili robi się to sport dla zamożniejszych.

- A pomijając pieniądze, czym się różni atmosfera, jak ludzie podchodzą do żeglarstwa?

- Atmosfera była lepsza kiedyś. To była czysto sportowa atmosfera. Każdy chciał żeglować. Dzisiaj nawet ci najmłodszy patrzą na żeglarstwo komercyjnie. Dawniej myśmy dostawali jakiś mały pucharek, albo jakąś plakietkę. W tej chwili na pierwsze nagrody idą co najmniej górskie rowery.

- Jakie miał pan osiągnięcia jako zawodnik?

- Myśmy najpierw musieli swoje odbębnić u sterników, u których się zaczynało żeglować. Ja 5 lat byłem załogantem u starszego kolegi i dopiero wtedy zostałem sternikiem. Poza tym sporo lat się czekało, żeby dostać sprzęt. To nie było takie proste. Mogę się pochwalić, że po dwóch latach żeglowania, tj. w 1956 r. zdobyłem mistrzostwo Polski jako załogant. Po 5 latach terminowania dostałem w Legii łódkę. W 1961 roku zdobyłem mistrzostwo Polski jako sternik na Omedze. Jako mistrz Polski, w następnym roku dostałem Latającego Holendra. Nie miałem wielkich wyników. Było paru zawodników, którzy mieli zachodnie, metalowe maszty. Ja miałem Holendra z drewnianym masztem.

Byłem w czołówce tych, którzy pływali na drewnianych masztach.

- Kiedy został pan trenerem?

- Miałem wtedy już 26 lat, działacze powiedzieli, że jako mistrz Polski powinienem szkolić. W tym czasie zaczęto wprowadzać w Polsce Cadety, więc zacząłem szkolić kadcjarzy. Prowadziłem też OK Dinghy. Od razu miałem sukcesy. Moi chłopcy chodzili w Polsce w czołówce. Moja praca zawodowa zaczęła się w Legii, a od marca '68 jestem stale w Yacht Klubie. Pierwsze poważne wyniki w tym klubie miałem dopiero w 1976 roku. Wychowałem swojego pierwszego mistrza Polski na Cadecie - Ireneusza Pierwołę. Przez wiele lat utrzymywał się w czołówce kraju i Europy.

- Dlaczego wybrał pan dzieci?

- Po prostu lubię dzieci - to po pierwsze, a po drugie w Yacht Klubie nie ma innego trenera dzieci. Nieraz o sobie mówię, że nie jestem trenerem żeglarstwa tylko trenerem Yacht Klubu. Struktura organizacyjna klubu spowodowała, że musiałem zająć się dziećmi. Oddaję zawodników, którzy dorosną innym trenerom i wracam do najmłodszych dzieciaków. Prowadzę je do 15 roku życia..

-Ale niektórzy nie chcą zajmować się dziećmi?

- Ja nie protestowałem, bo lubię pracować z dziećmi. Gdybym poszedł z grupą wyżej, nie byłoby zastępcy. Skończyłaby się w klubie klasa Optymist. Na początku pracowałem z kadeciarzami. Potem kiedy weszły Optymisty, równolegle prowadziłem i Optymisty, i Cadety. Kiedy w Yacht Klubie nie było innych trenerów, prowadziłem wszystkie klasy regatowe. Doprowadziłem do czołówki kraju paru okejarzy, miałem nawet jednego wicemistrza Polski w Finnie, Leszka Mokwińskiego. Kiedy w klubie rozwinęły się Optymisty, oddałem kadeciarzy innemu trenerowi i zająłem się tylko Optymistami.

- Czy do żeglarstwa trzeba mieć talent?

Oczywiście. Można uprawiać żeglarstwo nie przejmując się wynikami, ale żeby mieć sukcesy, trzeba być talentem. Trzeba mieć w sobie to coś i trzeba być szczęśliwym - duża praca, ale i sporo szczęścia. Powiedziałem kiedyś o Kusznerowiczu, że to jest farciarz. Fart trzeba jednak mieć - w czasie regat, w którą stronę by się nie pojechało, to ta strona musi wydać.

- Jakie warunki muszą być spełnione, żeby dojść do sukcesów?

- Zawodnik musi mieć specjalną inteligencję, musi być bardzo bystry w tym kierunku. Poza tym wytrwałość i pracowitość. Jeśli chłopak nie jest pracowity i nie przykłada się, to nic nie osiągnie. Ponadto całe otoczenie, a więc rodzice, klub, muszą pomagać. Bez sprzętu też niczego się nie osiągnie.

- Czym różni się trenowanie dzieciaków od trenowania starszych grup młodzieży?

- Praca z dziećmi jest przyjemniejsza. Jest lepsza atmosfera. Trudno jest włożyć dzieciom coś do głowy, ale szybko widać efekty.

W pierwszych latach można zobaczyć efekty prawie każdego treningu i to cieszy. U starszych zawodników o efekty jest znacznie trudniej i tylko niektórzy osiągają sukcesy. U dzieci widać efekty całej grupy i dopiero później w drodze naturalnej selekcji jeden się rozwija, a drugi nie.

- A co pana trzyma w żeglarstwie i skąd u pana tyle energii?

- Nie chcę się poddać wiekowi, chorobom i lubię tę pracę. Po prostu lubię to. Poza tym jest to mój sposób na życie. Przyzwyczałem się do pewnego rytmu życiowego. Dla mnie rok zaczyna się przygotowaniami sprzętu do sezonu, potem re-

w psychice-odejście tak naraz, bez powodu. Niby dzieci mnie lubią i ja je też, nie mam konfliktów ani z grupą, ani z poszczególnymi dzieciakami. Może to wina rodziców, którzy wymyślili sobie, że gdzie indziej będą mieli lepsze warunki, a może stwierdzili, że jestem za stary.

- Co uważa pan za sukces?

- Sukces mam wtedy, gdy wszystko gra. Kiedy widzę, że idzie do przodu, że coraz więcej dzieciaków żeglują, że są aktywni i chętnie żeglują. Kiedy jeden zawodnik wygrywa, to jest tylko znamię sukcesu. Mogę powiedzieć, że Kusznerowicz to też mój sukces. Oczywiście na pewnym etapie, bo przecież pracowałem z tym chłopcem. Ale za największy sukces uważam to, że z roku na rok przychodzą młodzi i zostają w żeglarstwie. Czym więcej ich zostaje, tym większy mam sukces.

- Czy pamięta pan, jak trenował pan Kusznerowicza?

• Jako optymistyczar nie miał dużych wyników - ciężki był. Miał dwanaście lat, kiedy musieliśmy go przesadzić na „Mini O'keya”. I od razu miał sukcesy. Wsiadł i wygrał regaty eliminacyjne w makroregionie. Później wygrał igrzyska młodzieży szkolnej. Od tego zaczęły się jego sukcesy. W następnym roku, mimo że miał dopiero czternaście lat, już był tak duży, że mógł żeglować na normalnym O'keyu. Oprócz Kusznerowicza, z mojej szkółki pochodzi też Dorota Staszewska. Przecież ona zdobyła szóste miejsce na olimpiadzie, to było najlepsze miejsce poza Mateuszem, który ją zaćmił.

- Co jest dla pana najważniejsze w życiu?

- Nie chciałbym tego jakoś górnolotnie ujmować, ale szacunek dla człowieka. To jest moja dewiza, i religia nawet.



Fot. Dariusz Tarbik

Leszek Pawlik: „Żeglarstwo to mój sposób na życie”.

gaty jedno po drugim, jeden obóz drugi, trzeci... i mamy jesień, i znowu trzeba zwinąć sprzęt, przygotować do zimy, zakonserwować i za moment znowu przygotowuję sprzęt do sezonu - chodzę jak w kieracie. Weszło mi to w krew i tak to ciągnę.

- Co uważa pan za swoją największą żeglarską porażkę?

- Niedawno miałem taką porażkę. Odeszła naraz z klubu grupa moich zawodników. Myślę, że to nie z mojego bezpośrednio powodu. A jednak to się czuje, to zostaje